

- Autor: **George Quiryn**
- Tytuł: **Zaufajcie Drakuli**
- Wydawnictwo: KAW
- Seria: Czerwona okładka
- Rok wydania: 1979
- Nakład:
- Recenzent: [Norbert Jeziolowicz](#)
- Recenzja: **100/2011**



Pulp fiction po polsku

Przyznam się od razu, że powieść George'a Quiryra czytałem właśnie w roku jej wydania i jest to akurat jeden z tych kryminałów, które pamiętam nawet po tych ponad trzydziestu latach. I znam co najmniej jedną osobę z mojego pokolenia, która ma identyczną opinię. Ta pamięć wynika z faktu, iż wielu wymiarach „Zaufajcie Drakuli” jest pozycją unikalną na rynku powieści milicyjnych. A myślę, że dotyczy to nie tylko Peerelu.

Teraz już oczywiście wiem, że dziwny anglosaski pseudonim skrywał Jerzego Kwiryra Siewierskiego, pisarza gustującego szczególnie w takich gatunkach jak kryminał czy horror, ale także autora monografii powieści kryminalnej oraz opracowań o polskim wolnomularstwie.

A na czym polega ta specyfika „Zaufajcie Drakuli”? Otóż moim zdaniem jest to jedyna powieść kryminalna wydana w okresie 1945-1989, która bezpośrednio nawiązuje do zasad i stylu obowiązującego w powieściach amerykańskich z gatunku pulp fiction. Ze względu na wojnę światową tego rodzaju powieści chyba także w ogóle w Europie nie były publikowane w latach 40-tych i 50-tych,. Ze względu na przemiany społeczno-polityczne w Europie Wschodniej polscy czytelnicy nie mieli chyba w ogóle dostępu do polskich tłumaczeń utworów z tego kręgu kulturowego, Chyba, że w filmach, jak na przykład niezapomniana „Niagara” z Marylin Monroe. Co oznacza między innymi, że percepcja filmów Quentina Tarrantino jest w naszym kraju jednak nieco ułomna.

Ale za to mieliśmy literata Siewierskiego. Stosuje on zresztą podobny zabieg, jak Joe Alex, czyli autor powieści jest jednocześnie narratorem i głównym jej bohaterem. Ta identyfikacja jest

jednak pogłębiona poprzez pseudonim nawiązujący bezpośrednio do rzeczywistych imion autora, na którego wizytówce jest także słowiańskie nazwisko, którego jednak nie używa w relacjach biznesowych.

Intryga całego utworu to właściwie klasyk: George Quiryn jest prywatnym detektywem z Nowego Jorku, który przyjeżdża w lipcu do wyjątkowo prowincjonalnej dziury Holiday Beach na Florydzie. Jest to znana miejscowość turystyczna, ale aktualnie poza sezonem, więc farmy aligatorów, lunapark oraz inne atrakcje turystyczne właśnie są zamknięte lub też znajdują się w stanie swoistego letargu. Jego zadanie polega na tym, aby poszukać dowodów niewinności syna swojego przełożonego z wojny koreańskiej, który czeka na proces oskarżony o brutalne morderstwo na tle seksualnym, co na Florydzie musi się właściwie zakończyć krzesłem elektrycznym. Tak się składa, że wszystkie najważniejsze osoby w mieście od szeryfa przez burmistrza a na lokalnym oligarsze kończąc starają się mu utrudnić wykonanie tego zadania i odnoszą się natychmiast wrogo do niego.

Prywatny detektyw Quiryn jest postacią nawiązująca bardziej do Mike'a Hammera niż do Marlowe'a. Jest w oczywisty sposób cyniczny, zde gustowany i nie wierzy w miłość, ale także jednocześnie nieobcy jest pewien głęboko skrywany romantyzm uczuciowy. Tak więc, o partnerce ze swojego zakończzonego związku mówi dość obcesowo „cizia, z którą sypiałem przez dwa lata”, ale już jego klientka jest „zaplakaną dziewczyną o wielkich, błękitnych oczach i długich rękach sprawiających wrażenie kruchych łodyg jakiegoś egzotycznego kwiatu”. I to naturalnie te lzy w błękitnych oczach przekonały go do wyjazdu z Nowego Jorku. Zresztą wizerunki kobiet w tej powieści, to też niezły temat na osobne opracowanie, ponieważ w dzisiejszym rozumieniu są one tak uroczo niepoprawne politycznie, że czytanie o nich sprawia naprawdę dużą frajdę – nawet jeśli prawie wszystkie stają się ofiarami wampira.

Jednak to nie wysiłek detektywistyczny jest głównym celem książki, ponieważ czytelnikom osoba psychopatycznego mordercy zostaje ujawniona na długo przed finałem całej historii. Siewierskiemu chodzi bardziej o budowanie napięcia rodem z dreszczowca (stara nazwa thrillera) lub nawet horroru, ponieważ morderca- wampir (taka mocno lajtowa forma Hannibala Lectera) będzie mordować napotkane osoby do samego końca.

Opisy klimatu są zresztą bardzo plastyczne: mężczyznom koszule i marynarki przylepiają się do pleców, a kobiety są rozbudzone seksualnie i zakładają wyjątkowo wyzywające spódniczki i obcisłe bluzki z dużymi dekolami. Że zacytuję autora „obezwładniający, lepki upał i miliony przylatujących tu co wieczór znad nagranych bagnisk Parku Narodowego Everglades moskitów potrafią wypłoszyć turystów szybko i skutecznie”. Autor poświęca sporo miejsca postaciom policjantów oraz adwokatów, którzy są przedstawieni w sposób nieodmiennie zły: funkcjonariusze są prymitywni i chętni do używania przemocy bez względu na okoliczności, a prawnicy naruszają zasady etyki zawodowej dla większych pieniędzy. Wszyscy porządni obywatele wspólnie działają w Legionie Amerykańskim, a dziennikarzom nie ma w ogóle co mówić, ponieważ to już kompletna zgnilizna moralna z zakodowaną genetycznie tendencją do wszelkich działań przestępczych.

Jak można zrozumieć, w Holiday Beach jest duszno zarówno w kontekście klimatu, jak i pewnych relacji społecznych. W tle mamy także wspomnienia wojenne z Korei (gorzkie

rozważania o braku sensu dla spędzania młodości z bronią w dżungli) oraz obraz konfliktu pomiędzy pracowitymi obywatelami a długowłosymi młodzieńcami palącymi karty powołania do wojska w związku z wojną w Wietnamie.

Autor nie epatuje czytelnika wprowadzaniem zachodnich gadżetów, którymi peerelowski czytelnik byłby tak bardzo zainteresowany, wystarczy mu zaledwie kilka drobnostek do stworzenia kolorytu jak komiksy dla dorosłych opowiadające o życiu płciowym niejakiej Domicelli czy też serduszko wycięte z czerwonego laminatu i przyklejone nad dzwonkiem do mieszkania pewnej kelnerki (przyjaciółki zamordowanej). Jednym z ważniejszych rekwizytów jest periodyk o nazwie „Poznajmy się”, który zawiera anonse towarzysko-erotyczne.

Jako przykład stylu Siewierskiego chciałbym zacytować

ostatni akapit powieści: „Taka realna dziewczyna siedziała obok mnie, a jej mokra skóra lśniła przy księżycu. Przygarnąłem ją do siebie i pocałowałem w usta. Księżyc świecił. Moskity cięły. Oddała mi pocałunek” Kiczowate? Oczywiście, że tak. Ale za to także bardzo stylowe i wyraziste.

Jeśli czytelnik tej recenzji dojdzie do wniosku, że stanowi ona coś w rodzaju hołdu dla jej autora oraz gatunku pulp fiction w ogóle, to powiem od razu, że zgadzam się z taką opinią. Gdyby „Zaufajcie Drakuli” został przetłumaczony i wydany w USA w którejś z serii kieszonkowych wydań literatury popularnej, to amerykańscy czytelnicy mogliby nie zauważyć żadnej różnicy w porównaniu z najlepszymi tamtejszymi autorami. A to już naprawdę niewielu polskich pisarzy może o sobie powiedzieć.